

Moja droga żono,

*chciałbym, żebyś przeczytała ten list o świcie. W tych chwilach, gdy ty i ja usiłowaliśmy czasem na swój sposób oddalić pozo-
gę świata. Bądź silna, jak ja staram się być silny, pisząc do ciebie te słowa. Naciskają na mnie coraz mocniej, a niemal już jawne groźby nie pozostawiają złudzeń co do losu, na jaki zdaniem niektórych w pełni zasłużyłem. Ale gromadzę dowody. Niestrudzenie. Jak się pewnie domyślasz, są przytłaczające. Staram się przewidzieć strategie proceduralne, wiesz, jak butni i bezwstydni są nasi prawnicy. Komple-
tuję akta i choć nie śpię po nocach, nie wycofam się. Dziś-
siej przestępstwem stało się nazywanie pewnych spraw po imieniu, nie fakt, że te sprawy istnieją. Widzę twoją twarz, gdy mnie błagasz, żebym był ostrożny, nie zapominam też twoich słów: „Boże, jakie mam szczęście, że zasypiam i bu-
dzę się u boku szlachetnego człowieka!”. Ale tą epoką rządzą inne kody. Skazując nas na niełaskę w sposób tak brutalny,*

że możemy to uznać za powód do chluby. Nie wstrzymuj łez, ale nigdy nie zginaj kolan. Nigdy!

Imadło się zaciska. Kilka dni temu odwiedził mnie przyjaciel, którego nie widziałem już od wielu lat. Najwyraźniej wysłano go z misją. By mi przypomnieć, że mam żonę i córkę. Że życie ma swój wdzięk. Że mój samochód jest zbyt wysłużony, żeby nim jeździć po dziurawych ulicach miasta. Że tak znamienity sędzia mógłby mieszkać w o wiele przyjemniejszej dzielnicy niż nasza. Tylko się uśmiechnąłem. Wyszedł z grymasem na twarzy wyrażającym zdziwienie i żal. Wczoraj dwaj mężczyźni na motocyklu jechali za mną aż do zakrętu przed domem, a gdy mnie wyprzedzali, ten z tyłu uniósł T-shirt, żeby mi pokazać pistolet kalibru dziewięć milimetrów. I jeszcze ten głos w słuchawce, który rechocze, kiedy odbieram telefon, rzuca wyzwiska. Albo diabelskim szepcetem wymawia moje nazwisko. Niektórzy z kolegów rzucają mi wystraszone i puste spojrzenia, stroniąc od mego towarzystwa. Inni mają nadzieję, że położę uszy po sobie jak oni. Robią dwuznaczne miny, jakbyśmy się spotkali w podrzędnym burdelu. Nie czuję żadnej bliskości z jednymi ani z drugimi. Ale nie wyjadę. Zawsze jedni wyjeżdżali, a inni zostawali. Należę do tych drugich. Dzięki muzyce odwiedziłem już wszystkie porty świata. To marzenie o pełnym morzu przekazałem Brune. Za każdym razem, gdy ucałujesz powieki naszej córki, przypomnij jej, by nigdy nie skalala swojego spojrzenia, nie utraciła cienia. Zawsze. Cień to czasami nasze przyjaźnie, miłości. Może dla niej to będzie jakiś kraj. Kto wie? Jeśli kiedyś zechce wyjechać, nie oponuj. Mysląc, że ją utracisz, ocalisz ją. Powiedz wszystkim, którzy będą mnie opłakiwali,

jak wielką darzyłem ich serdecznością. Poszukaj wsparcia u twojego brata. Pierre jest najrozsądniejszy z nas wszystkich.

Kocham twoją łagodność, kocham twoje milczenie. Po tylu latach wciąż łaknę twoich posiłków i twojego ciała. Łóżko będzie bardzo zimne, pokój pusty. Wybacz mi.

Tym, którzy będą cię pocieszali, mówiąc, że stracili odwagę i nadzieję albo że we wszystkim zdają się na Boga, odpowiedz, że to się wydarzyło, bo udawali, że o niczym nie wiedzą, i nie chcieli niczego zobaczyć. Bóg jest tylko ich parawanem.

Chciałbym w ostatniej sekundzie usłyszeć jeszcze śpiew Brune. Tak bardzo potrzebujemy tych wędrówek na oślep, bez zabezpieczeń, bez asekuracji, ku pięknu.

*Twój mąż
Raymond*

Kiedy Cyprien zwalnia przed światłami, wycie syren dobiega jeszcze z oddali. Prześladowają go wyśnione obrazy, toteż tego nie słyszy i odruchowo włącza radio. *Jesteś istnym cudem natury! Narodem twórczych geniuszy! To ty, audi! To ty, Haiti!* Jego dziwaczny sen miesza się z tymi słowami, które od kilku tygodni władają ważną częścią jego umysłu: *Audiii! Haitiii!* Ale że natarczywe, niespokojne słowa dziennikarzy są zawsze gdzieś w pobliżu, zmiatają sen i audi niczym czarny szkwał. Trudno z większym spokojem zakomunikować, że pola prosa atakuje grzyb, że w największym szpitalu publicznym brakuje lekarstw, waty i jednorazowych rękawic, że kilka osób zginęło, wypłacając parę banknotów z banku albo że sędzia Raymond Berthier został zamordowany, bo chciał za dużo wiedzieć. Tutaj żyć znaczy przyzwyczajając się do upadków. Miasto to kocioł i trzeba się trzymać blisko piany, żeby nie pójść na dno. Cyprien kurczowo zaciska dłońe na kierownicy. Inna część tego samego umysłu musi wszakże uważać na przechodniów i na dwa motocykle wypadające nagle z jego lewej strony, na przepełniony

tap-tap, który przed nim hamuje, żeby jakiś pasażer mógł wskoczyć do środka, na motor, wciskający się między jego auto a pomalowany w pstrokate barwy autobus. Jest gorąco. Może trzydzieści trzy stopnie w cieniu. Tłum, gęsty, hałaśliwy, tłoczy się na wąskim skrawku chodnika między straganami i stojącymi wprost na ziemi koszami przekupiek. Od trzech dni nie uprzętało śmieci. Cyprien coraz gorzej znosi ten różaniec nieszczęść, paciorki przebierane palcami codziennie, co godzinę, skwar, gwarny tłum i wiziewy rynsztoków. Nastawia klimatyzator na dwadzieścia stopni. *Full blast*, jak powiedzieliby jego koledzy! Zapala się zielone. W jego skromnym hyundaiu tucson klimatyzator działa teraz na pełnych obrotach. Przy dwudziestu stopniach Celsjusza w kabinie zapominasz w końcu o dnie kotła! Nie myślisz o złych wieściach! Reguluje dozownik perfum z paczulą nad deską rozdzielczą, zbyt słodkich zdaniem Brune, ale on je lubi. Kiedyś stwierdziła nawet, że to prostacki zapach. Jeszcze o tym myśli i pamięta swoją reakcję, powiedział, że ona zawsze wszystko wie najlepiej, i że nie zmieni perfum. Cyprien słucha jednym uchem, po raz któryś z kolei, ciepłego głosu w radiu, który między jednym nieszczęściem a drugim wychwala zalety audi quattro: *Jesteś istnym cudem natury. Jesteś legendarnym narodem herosów, jesteś ludem nieustraszonych śmiałków, to ty, audiii, to ty, Haitiii, kraju quattro*. Choć Cyprienowi podoba się ta lśniąca, potężna, rasowa maszyna (Niemcy, doprawdy, *chapeau bas!*), jest mu trudno, pomimo dobrze postawionego głosu lektora, odnaleźć związek łączący audi z Haiti. Audi i Haiti, kto mógł w ogóle na to wpaść. Z zamętem w głowie, jak odurzony wonią chloroformu, często słucha tych

dźwięcznych słów. Dzwonią mu w uszach. Lecz zestawione z sobą nic nie znaczą. Nicość przyprawiająca o zawroty głowy. Lasująca mózg. Reklamy tym się cechują, sprawiają, że nierealne staje się wiarygodne.

Jęk syreny się zbliża, podobnie jak migające światło. Przechodnie po obu stronach zwalniają i odwracają głowy. Cyprien niczego nie dostrzega. Dziwny sen, który śnił tej nocy, również nie daje mu spokoju. Dziwny nie jest może odpowiednim słowem. Wydaje mu się, że ten sen to coś w rodzaju przecucia, przestrogi wyłaniającej się z najgłębiej skrytej, najbardziej mrocznej części jego umysłu. Wciąż jest nim zszokowany. Czyżby ten sen miał związek z jego życiem seksualnym? Z początku tak pomyślał, choć nie bez wątpliwości. Wyrósł z wieku, w którym miewa się nocne zmyzy. Matka wychowywała go sama, tak jak dwie starsze siostry. Ten intymny kontakt sprawił, że jest mężczyzną, który lubi kobiety. Ale Cyprien nie uważa się za kobieciarza. Choć tak jak wielu mężczyzn czuje, jak jego mózg gwałtownie spada w okolice krocza na widok zbliżającej się spódnicy czy obcisłych spodni. Zresztą gdy chodzi o te sprawy, Brune trudno cokolwiek zarzucić. Sześćdziesiąt kilogramów doskonałych krągłości, boskie nogi, jędrne piersi, dwa sterczące owoce pomelo. W jego śnie Brune oddalała się od niego tanecznym krokiem, z obnażonymi nogami, na górskiej drodze, jakich wiele jest na tej wyspie. Na samą myśl o tym czuje lekkie napięcie między udami. Było ciemno. Na próżno przywoływał ją co sił w płucach, nie odwracała się. A kiedy nagle uniosła się w powietrze, przeskakując parów, wrzasnęła... Ale Cyprien się ociekł. Gdzieś za plecami słyszy jęk syreny. Zerka w lusterko

wsteczne i widzi czarną toyotę land cruiser o kilka metrów od jego niepozornego hyundaia. Przed nowiutką toyotą z potężnym silnikiem pod maską jedzie inne auto z napędem na cztery koła, mniej luksusowe, o przyciemnianych szybach, z kogutem na dachu. Konwój prowadzą dwaj motocykliści. Samochody z przodu pospiesznie zjeżdżają na prawą stronę, a przechodnie przywierają do ścian. Manewr Cypriena był szybki, sprawny ruch kierownicą, by także odbić w prawo, upewniwszy się jednym spojrzeniem, że na chodniku, na którym roi się od nóg i ramion, na nikogo nie najedzie kołem i nikogo nie potrąci zderzakiem. Przednie koło ugrzęzło w rynsztoku, wydając zgrzyt przeszywający serce. Ale ochroniarze z pierwszej terenówki najwyraźniej uznali, że Cyprien nie zareagował dostatecznie szybko. W otwartym oknie para oczu groźnie spoglądających spod kominiarki i dwie dłonie zaciśnięte na lufie automatycznej broni. Mężczyzna w land cruiserze, z pewnością ważna persona, opuścił szybę kilka centymetrów niżej i bez wątpienia również bacznie mu się przygląda. Cyprien przełyka ślinę. Obnażone nogi Brune, jej ramiona gestykujące w jego śnie i przebudzenie w pocie, wszystko nagle się rozwiało wraz z wyciem syreny, szybkim manewrem i tymi mrozzącymi krew w żyłach spojrzeniami. Obraz nocy przesłaniają teraz bardziej przyziemne myśli: faktura od mechanika, osiemnaście rat, które musi zapłacić dilerowi. W sumie ma szczęście, że nie natknął się na ten konwój na którejś z tak zwanych dróg krajowych. Na przykład na zakręcie nad skrajem przepaści. Ja, Cyprien Novilus, poleciałbym prosto w dół, posłany *ad patres*, nogami do przodu, bez świadków. I słuch by po mnie zaginął.